Rok V Grudzień, 1931 Nr. 4

GŁOS WARSZAWSKI

MIESIĘCZNIK

Redaguje Komitet

WYDAWNICTWO ZARZĄDU ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO
ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Marszałkowska 123. Tel. 717-29 i 543-13.

Koleżankom i Kolegom
oraz wszystkim Czytelnikom
naszym składamy
Serdeczne Życzenia
Świąteczne i Noworoczne!



NUMER LITERACKI

Zgodnie z zapowiedzią, numer niniejszy ma charakter literacki. Artykuły i wogóle „prozę dnia“ dajemy na planie drugim. Chcielibyśmy, aby owa zmiana chwilowa sprawiła Czytelnikom tylko przyjemność.

A niechże i ci, co manowcami Pegaza chadzać „lubią“, zobaczą „siebie“ na łamach „Głosu“, zobaczą o czem i jak piszą inni.. 75 utworów nadesłano na konkurs, przeszło dwudziestu autorów stanęło do rywalizacji. Niestety, nie wszyscy ujrzą swe dzieła w „Głosie“. Dwie strony tutaj zawinić mogły: autorzy albo Komisja kwalifikująca utwory do druku. Z tem trzeba zgóry się zgodzić, a szczególnie ci uczynić to powinni, którzy nadal pisać zamierzają.

Ostatnią przeszkodę w drukowaniu większej ilości prac stanowi ograniczona objętość naszego pisma.

Jedno trzeba stwierdzić z przyjemnością, że wielu z nauczycielstwa nie obce są arkana poezji czy prozy. Z nadesłanych prac wybrane zostały najlepsze. Ostateczny głos w ocenie zamieszczonych utworów oddajemy Czytelnikom. Czytajcie i sądźcie sprawiedliwie, opinję swoją nadsyłajcie do redakcji „Głosu“ (Patrz kupon do głosowania na ostatniej stronie).

A teraz garść niezbędnych informacyj:

1. W ocenie utworów udział brać mogą wszyscy czytelnicy „Głosu Warszawskiego“.
2. Głosować należy na załączonych w „Głosie“ kuponach lub na kartkach według wzoru kuponu.
3. Dwie nagrody w postaci książek z dziedziny literackiej przeznaczone są dla tych dwóch osób, które w głosowaniu najtrafniej ocenią 3 najlepsze utwory.
4. Trzy nagrody pieniężne przeznaczone są dla autorów najlepszych prac.
5. W razie małej liczby zgłoszonych ocen, nagrody autorskie rozdzieli Komisja Konkursowa.
6. Po obliczeniu głosów ewentualnie po decyzji Komisji zostaną otwarte koperty z nazwiskami autorów. Nazwi-

ska te, o ile nie ma w tym kierunku zastrzeżeń autora, ogłosimy w najbliższym numerze „Głosu“.

7. Kupony należy przesyłać lub składać osobiście: ul. Marszałkowska 123 w Kancelarji Oddziału Związku lub u woźnego.
8. Termin składania ocen kończy się z dn. 15 stycznia roku 1932.

Mamy nadzieję, że wypoczynek świąteczny i wolny czas pozwolą Koleżankom i Kolegom na wzięcie jak najliczniejszego udziału w naszym plebiscycie literackim.

Członkowie Komisji Konkursowej:

St. Dobraniecki, R. Korupczyńska, H. Ładosz, Z. Roguska, Z. Roykiewicz.

* * *

ŻEMIR

PIEC

Nie wszystkie piece dymią. Piece nauczycielskie dymią z zasady, z urzędu i z przyzwyczajenia. Naturalnie, że mowa jest tu tylko o piecach — plebsie prowincjonalnym, a nie, broń Boże, o arystokracji kaflowej czy kaloryferowej, gdyż te rzeczywiście i przeważnie służą ku wygodzie ludzkiej.

Piec koleżanki Stasi w jej gminnej (przez gminę wynajętej) izdebce był, jak tysiące jego sobowtórów, źródłem utrapień, niespodzianek i nieporozumień pomiędzy gminą, sołtysem a panią „profesorką“. Już sam wygląd pieca robił wrażenie ujemne. Ręka jego twórcy chciała mu widocznie nadać formy prostopadłościanu, ale mnogość guzów, skrzywień czyniła go bezkształtnie pękatym, do zaufania widza nie przemawiającym. Co innego koleżanka Stasia. Anielska istota, gołębie serce!

Podobieństwo między nią a piecem było tylko to, że oboje byli nowi: ona jako nauczycielka wogóle, on jako piec w tej izbie. Oboje jednak mieli służyć szkole. Ale już z powitania dwojga naszych bohaterów widać było, że o „współpracy“ mowy być nie może.

Gołębie serce, jak już wiemy, miała koleżanka Stasia. To też, wchodząc pierwszy raz do izdebki, spojrzała na piec najlepszem okiem i z pewnym sentymentem, jako na coś, co też pan Bóg do istnienia powołał, pożytecznym być kazał, ale, powiedzmy otwarcie, urody nieco poskąpił. Pokochała piec, no bo złoty człowiek był z koleżanki Stasi. A on? Właśnie to bydle, rosomok, kocmołuch, pokraka zapowietrzona ani krzty się nie poznał na dobroci swej pani, na roli społecznej, do jakiej był dopuszczony. Gdy ona (pani) tuliła się do jego kostropato wapnem pochlapanych boków, wierząc w swym dziewczęcym optymizmie, że, choć nienapalony, potrafi jednak wydać z siebie okruszynę ciepła w zimne listopadowe dni, on, stał rozkraczony, wykrzywiony w gębie, zimnem urągający; nawet chichotu szarugi jesiennej ukryć w sobie nie chciał: przez szpary między cegliskami gwizdał na izbę i kurzył sypiącą się zaprawą z piasku.

Cham był i tyle!

Ale kol. Stasia tak o nim nie myślała. Kochała cały świat z jego złem i dobrem. Świni po imieniu nazywać nie chciała. I gdy piętnastego grudnia gmina dostarczyła jej furę torfu, tak się rozczuliła dobrocią ludzką (torf opłaciła, furmankę też), że do koczkodana pieca gaworzyła, jak do dziecka: „A będziesz grzeczny, będzie nam ciepło. Otwórz buzię: włożę dobre papu, a nie za dużo, żebyś nie chorował“ i t. d. i t. d. A on? Pierwsze dymy połknął, przepuścił do komina, drugie, trzecie — też. Koleżanka Stasia chce zdjąć sweter, żeby jej nie było za gorąco, a ten jak prychnie dymem wszystkiemi szczelinami. Jak nie poprawi gardzielą główną prosto w oczy przerażonej pani.

Jeszcze z komina inne dymy zwabił do siebie.

Dobre miała serduszko koleżanka Stasia: przeprosiła piecyk, że tak dużo włożyła od razu. Otworzyła drzwi do sieni, włożyła sweter, a palenie w piecu (wieczór był właśnie) do drugiego dnia odłożyła.

Włożyła trochę — dymi, włożyła więcej — dymi. I tak ze trzy dni. Tylko mrozy chwyciły ostrzejsze. A piec dymi!

Nic nie pomogły prośby, pisma do osób i władz. Rada Gminna nie mogła się zebrać, bo pani wójtowej przyszły na świat bliźniaki. Sołtys i członek Dozoru w jednej osobie w „taki ziąb mularza szukać nie będzie". Gospodarz, właściciel izby, dał najlepszą radę: zawołać tego, co piec stawiał, niech poprawi, a potem się może zapłaci. Albo bestja chłop „zgrywał" albo do cna zapomniał, że Tomaszowa, co ony piec stawiała, już od miesiąca na cmentarzu pogrzebana.

A piec dymnił wszystkiemi szparami, których liczba coraz wzrastała.

Zbliżały się święta Narodzenia Bożego.

Sierotą była kol. Stasia: wyjechać nie miała do kogo.

Święta tuż-tuż. Pan wójt zajęty przygotowaniem do chrzcin; pan sołtys na „ziąb" nie wychodzi; Tomaszowa nie żyje, a piec regularnie dymi. Nie!!!! 24-go grudnia od samego rana dymić przestał. W dwóch czy nawet trzech miejscach ciepłą miał powierzchnię. W szczelinach pomiędzy ruszającemi się kawałkami cegieł, gliny — dymu ani na lekarstwo.

Dobre miała serduszko kol. Stasia. Łzy szczęścia podwójnego (święta i bezdymie) spłynęły cicho po rozpromienionej twarzyczce.

Już gwiazdy ziskrzyły granat nieba na powitanie Pana nad Pany. Kol. Stasia nie pójdzie na Pasterkę: daleko, śnieżyca...

Otworzyła karty swego pamiętnika z przed lat dziesięciu, z czasów, gdy jeszcze żyła matka i gdy obie zapisywały w tym oto właśnie pamiętniku swoje myśli, koleje.

Przesuwają się drogie, choć w czasie tak odległe, obrazy minionych chwil. Zalewają duszę echa błogich dni... Przymknęła oczy kol. Stasia, aby wzrokiem duszy widzieć wszystko na kanwie wspomnień, by pełnią duszy czuć święto....

A wtem: Grrr-a-ch. Łomot!... Gruzy!... Kurz! Dym! Czerń! Swąd!

Piec. — Runął!

U wójta chrzciny. Sołtys na „ziąb" nie wyjdzie. Tomaszowa nie żyje. Jest kol. Stasia. I dużo, dużo dymiących pieców nauczycielskich.

ZAMIAST

EGZAMIN KWALIFIKACYJNY

Stadjum życiowe, nakreślone metodą projektów.

Z życia to wzięte, a nie z mórz poezji.
A choć się jedna strofa z drugą skłóci,
Nawet poczubi, to przecież się nie zje;
A na ostatku zdrowy sens się wróci.
System projektów stosuje tu autor.
Oby spełniały się często, bo warto.
Dwie tu postaci będą grały rolę:
Jedna — kobieta, a druga — mężczyzna.
O owym panu później mówić wolę;
O pani zaraz. I tu autor wyzna,
Że miała trochę dziwne imię — Ina.
Nauczycielką była. Nie jej wina.
Trzy lata zbiegły jej w trudzie mozolnym,
W szkole powszechnej, trzy lata, jak strzelił.
Niejeden już tam cherubin swawolny
Ciemną sukienkę jej kredą wybielił,
Lub atramentem splamił crépe-georgett'y.
Ale już taki belfrów los — niestety.
Możeby jaki srogi wizytator
Powiedział: Pani ta — to niedołęga.
Ośmieliłbym się odpowiedzieć na to,
Że to przesada. Tak nie jest. Przysięgam.
Że i inspektor zresztą w takiej szkole
Nie dałby... urwę i już milczeć wolę.
Ina skończyła liczne kursy różne:
Robót dość ciężkich, śpiewu i rysunków,
Rytmo-plastyki, przyrodo — podróżne,
Recytacyjne, społeczne, fechtunku,
Więc do swej pracy miała dość „wytycznych".
Jednak ją czekał egzamin praktyczny.
I na następnych lat pięć już — ryczałtem.
Więc się do rzeczy zabrała z zapałem.
Stół się uginał pod Rousseau Jean Jacque'em,
Dewey, Rowidem i pod Kotem całym,
Pod Claparède'em, Jeleńską, Korczakiem.
Z trzech lat konspekty układała gwałtem

A gdy się wszystko zmieszało już przednio,
Gdy Hall z Baleyem stali się bigosem,
Gdy wszyscy łącznie stopili się w jednię,
Kierownik szepnął jej zdławionym głosem:
„W maju egzamin. Maj to pora niezła".
A ona zbladła strasznie nakształt giezła.

* * *

Wiosno, kto ciebie widział w naszym kraju,
Gdyś szła brzemienna w bankructwa i plajty,
Gdy każdy czuł się jakby na wyraju,
Niepewny jutra i pojutrza, aj ty
Wiosno podobna do jakiejś wietrznicy,
Krzycząca: dalej z posad... urzędnicy,
Nowemi dzisiaj popchnie się was tory...
Lecz dosyć tego. Komisja jest w klasie.
Więc opleśniałej zbywszy się przekory
Popędzcie naprzód w nieznane, a ja się
Gdzieś zawieruszę w kąciku, w ukryciu.
O! wiosna. Taka tylko raz jest w życiu!!
Lekcja o żabce. Najpierw obserwacja.
Oto okazy. Oto szkielet żaby,
A potem Ina bierze się do akcji:
Wszystko poprawnie. Chodzi o to, aby
Dzieci zagrały wyuczone role
Kilka dni temu. Prawdę mówić wolę.
Przewodniczący nie spuszczał z niej oka.
Choć była blada, choć koloru ściany,
Lecz dostrzegł lekkość w jej niepewnych krokach
I przepaść w oczach jak u Gisch Liljany.
A chociaż twarzy nie zdobiła farbą,
Dostrzegł jej uśmiech jak u Grety Garbo.
Zresztą szumiała w niej młodość — ta pierwsza
I na warg łukach kładła obietnice,
Młodość piękniejsza od mojego wiersza,
Choćby pisany był złoconym rylcem.
Przewodniczący poczuł się nieswojo
I nagle szepnął: o siebie się boję. —

A gdy colloqium skończyły się gwary,
Wyraźnie poczuł, że jest z nim niedobrze.
Zresztą... pal djabli, przecież nie jest stary
Niech los prowadzi, niech się przeszłość podrze.
Więc gdy przez tyle wrażeń już przepłynął,
Chciał mieć gdzieś randkę z piękną panną Iną.

Teraz jest pora, aby mówić o nim.
Był to człek zacny, już nieco łysawy.
Imię miał trochę dawniejsze — Hieronim
I uczonego chciał zażywać sławy.
Więc pisał książkę, lecz grubszą od Kota,
Gdzie miał stosować wzór Boyle-Mariotte'a

Do obliczania zmęczenia u dzieci.
Ów wzór to właśnie miał być sławy błyskiem
I glorją jego nazwisko oświecić.
I zetrzeć wszystko jak kamieniem młyńskim,
Co było błędne w pedagogji szrankach.
Nad tem pracował po nocach i rankach.

A teraz nagle zrozumiał że... kocha,
Że żyć bez Iny będzie mu nijako.
Więc na sportowo ubrał się. W pończochach
Było mu nieźle i w angielskim saku.
„Wnet ją zobaczę", w głowie wciąż mu szumi,
Więc do ogrodu popędził jak Nurmi.

Ona już była pełna melancholji,
Bo przeczuwała, że ją czeka zmiana,
Słońce świeciło jak odblysk cynfolji
I maj czarował jak śmiech Don-Juana.
Wiosna cieszyła się ze swego dzieła.
Wtem nadszedł on — Ina aż drgnęła,

Poczem się wsparła o cienkie sztachetki,
Poza któremi rosły młode pędy.
On poczuł, że jest teraz dziwnie lekki
I szepnął sobie: „Moja droga tędy"
Więc jak oddawna stary zwyczaj głosi,
Inę o rękę cichutko poprosił.

„O rękę panie, czy pan już upada?
„Czy to zmęczenie, czy droga niedobra?
Podtrzymam pana“ — mówi Ina blada
(Bo tak gdzieś radzi w swej książce Dekobra)
Lecz on się spostrzegł. „To źle wyłożone,
Jabym chciał panią wziąć sobie za żonę.“
„Pan mnie za żonę? Czy to prawda? Boże!!
Ach mamo!!! A więc przyszła i ta chwila.“
Ona się słania, jak kwiat cięty nożem,
Łamie sztachetki i wtył się przechyla,
Pada wśród kwiatów, wyciąga ramiona
I szepcze: Ratuj, najdroższy, ja konam!...
Lecz nie umarła. To rzecz zwykła zgoła.
To panieńskiego skurcz był tylko serca.
Wkrótce Hieronim wiódł ją do kościoła,
Potem czas jakiś spędzili gdzieś w Kielcach.
On z dzieł swych przyszłych spowiedź przed nią czyni
Ona przysuwa kotlety i... finis.

ICAR

W RZECE

Pójdźmy w głąb rzeki! W wodzie tak ładnie.
Zielonogrzywe modre rusałki
pełzają na dnie.
Ta piasek w muszli przesiewa miałki,
w jego paciorki promień przewleka,
ta sieć drgającą z połysków plecie.
Prześwieca rzeka,
migają ryby w przejrzystym świecie.
Ktoś na fujarce z trzciny przygrywa.
Tumani serce płynna muzyka,
jak sen płochliwa,
rozwirowana... to pieśń wodnika,
Słyszysz? Cyt! żyją podfalne ludy.
Rozlewne zjawy, które ja tworzę,
to nie są złudy,
lecz my jesteśmy fantazje boże!

ICAR

Z WICHREM

Nad wodą rozszemraną z tobą gwarzę,
wichrze, artysto, większy nad rzeźbiarze.
Ty chybki, śmigły, w niewstrzymanym pędzie
tworzysz z obłoków orły i łabędzie,
rumaki bystre i żaglowe łodzie,
królów, rycerzy zbrojny tłum w pochodzie,
boginek rozpląsanych rój wesoły
i zapatrzone w niebios wyż anioły.
Uwielbiam dziwy twej rozwiewnej sztuki.
Las ty ozdabiasz — drzewa skręcasz w łuki,
gałęzie plączesz, — wiążąc z nich arkady,
niwy układasz w przelewne kaskady,
zasiewasz w trawach kwietny wzór misterny,
żłobisz na piaskach kruże i cysterny,
nadajesz falom kształt błyskliwych węży.
Chcesz i mnie rzeźbić? Ciało me się pręży,
twój ostry podmuch tak je silnie smaga,
zrywa mi szaty. Staję w słońcu naga,
a ty mię czynisz giętką i falistą,
umiłowany mój, lotny artysto!

HORAN

CUD WIOSNY

Wiosnę mi dałaś słoneczną!
W kwiaty przybrałaś mi skroń.
Skrzydeł przypięłaś Pieśń Wieczną,
Na przyjaźń wzięłaś mą dłoń.

Dałem Ci róże czerwone,
Czerwienią serca płonące,
Dałem Ci sny utęsknione
I serce Tobą żyjące.

Wzięliśmy Wiosny Ślub Wielki
I hymn śpiewamy radosny:
Błogosławiony bądź żywioł wszelki!
Błogosławiony bądź, Cudzie Wiosny!

HORAN

MIŁOŚĆ

I.

Cicha brzoza...
Długie rzęsy cień na ziemię rzucają.
Smutne rzęsy. Cudowne! Czemuż w pustce szlochają?
Samotna brzoza. Wokół drzewa...
Inne szumy wkoło brzozy radosne —
Brzoza marzy o szczęściu,
Lecz nie wierzy już w wiosnę.

II.

Na spienionym rumaku
Pędzi w słońcu Żar złoty...
Sama Złota,
Promienna,
Śmiejąca!
A gdzie wionie Jej oddech,
Gdzie zapachną Jej sploty,
Kwitnie Druga:
Szalona...
Gorąca!

III.

Pachnie Róża w ogrodzie
Szczęściem każdy dzień wita — —
... Przyszedł Rycerz-Ogrodnik
O Różyczkę zapytał.
... Poszła Róża z ogrodu na pałaców kobierce
Otuliła płatkami rycerzowe serce.

IV.

Od nocy przez słońca pełny bieg
Z rozpaczą, modlitwą i przekleństwem
W skalisty biję brzeg.
Napróżno krwawię usta
U jego zimnych stóp.
Wyciągam fal ramiona i pragnę...
Najdroższy, kochaj! albo... zgub!

L. CZYŃSKI

TRIO DOBRANOCNE

On: To już za wiele tego, dziewczątko moje rozkoszne
i figlarne!
Ostatni niech Cię raz ramieniem swem ogarnę.
Ostatni jeszcze raz odrzucę włosy z czoła...
No?... Do-wi-dze-nia! (Rozstania czas już woła.)
Ostatni jeszcze raz daj Twe rozkoszne usta...
No więc ostatni raz. („Kolejka“ już sto szósta!)
Ostatni jeszcze raz Twych piersi cud upieszczę...
O-s-t-a-t-n-i mówię raz!...
Oni: Lecz cóż: silniejsze od nas JESZCZE!!

. . . .

On: To już za wiele tego, dziewczątko moje rozkoszne
i figlarne.
Ostatni niech Cię raz ramieniem swem ogarnę...
Czas: — Ostatni jeszcze raz?!— Już z tysiąc razy było.
Oni: Zacznijmy... od początku,
Bo nam się pomyliło.

Y O Y.

C Y G A N K A

Wzorzyste płachty. Kraśna chusta.
Cekiny złote. Kruczy włos.
Palące oko. Zwiędłe usta.
Twarz ciemna, zwiędła. Schrypły głos.

W ustach tkwi szczątek papierosa,
I przez ulice gwarne miasta
Niedbałym krokiem stąpasz — bosa — —
Jak stepem, kędy głóg porasta.

W ruchliwych oczach spryt się pali:
Łup chwytać zręcznie — to twój los.
„Powróżyć państwu!...“ Nie? Więc dalej!...
Nie tu, to indziej będzie grosz.

W boru, czy w gwarze rojnych miast —
Bez troski żyjesz i bez pracy.
I pod namiotem złotych gwiazd,
Jako wędrowni sypiasz ptacy.

YOY

WIERZBA

Wierzba jestem. Na polskiej wybujałam glebie.
U stóp mych toń strumyka, a w górze słońca blask.
Budzi rankiem — wieczorem wiatr do snu mnie kolebie.
Zasypiam pod namiotem, w tysiące tkanym gwiazd.

Gniewają się, żem krzywa, i ganią przyjaciele,
Że miast gałęzi silnych pędów mam wiotkich wiele.
Gdy głowę rozczochraną osrebrzy blask księżyca,
Pierzcha nieraz człek w strachu, myśląc, żem czarownica.

Za człekiem ślę strwożonym cichutki uśmiech miły —
Wróci ufny, jak dziecię, gdy błysną blaski zórz.
A dębom nie zazdroszczę piękności ich i siły
Ani strzelistym sosnom przestrzeni obcych mórz.

Silna jestem, jak ziemia! Żyć będę tysiąc lat!
Tysiącem drobnych pędów ujarzmię brzegi wód!
Z gałązek mych kołyska zawiśnie w głębi chat,
A starzec schroni głowę znużoną w cienia chłód.

Grom nieraz bił w mą pierś, na strzępy targał żyły.
Żelazny topór nieraz z gałęzi odarł skroń.
Moc się radosna pręży... Rany się zabliźniły!
Nowa się zieleń w słońcu kąpie i śmieje doń!

Jak krew ożywczą, piję strumyka chłodne wody.
Z rozkoszą pławię czoło w złocistym słońca żarze.
A gdy wieczorem księżyc sprawuje srebrne straże,
Rzewnie mi na fujarce pastuszek grywa młody.

ICAR

KOŁYSANKA MIASTA

Wieczorem zdaleka dochodzi
głos syren i dzwonki, i kroki.
Wirują tam życia potoki,
tłum krąży wśród świateł powodzi.
Czaruje, porywa rozgwarem,
lśni miasto, jak wielka latarnia.
A ciebie, maleńki, ogarnia
snu fala upojnym swym czarem.

Przycichła ulica uśpiona.
Pod mostem czy w ciepłej pościeli
znużeni jednako posnęli,
Noc wzięła, jak matka, w ramiona
radości ich ludzkie i smutki,
złożyła w kolebkę snu czarną,
Niech sny cię beztroskie ogarną,
uspokój się, synku, malutki!

Dzień szary już wrota odmyka.
Twój ojciec wdział bluzę roboczą.
Po bruku już wozy jazgocą,
i gwizdkiem przyzywa fabryka.
W utrudzie znów chylą się czoła,
mozolą się dłonie ofiarnie.
Niech sen jeszcze ciebie ogarnie,
nim życie do pracy zawoła..

Zaszumiał samolot z wyżyny.
To lotnik, zuchwały ptak młody,
za morza z wichurą w zawody
po śmierć pewną gna lub wawrzyny.
Wysoko pod słońce jaskrawe
szybuje ptak olbrzym bezkarnie.
Niech sen cię, mój synku, ogarnie,
śnij wzloty twe przyszłe i sławę!

KALINA

MAKI

Leżę na miedzy pośród złotej fali żyta...
Nade mną na zdźbłach smukłych ciężkie kłosy wiszą....
Zda się, każdy z nich cichym ukłonem mnie wita...
Poję się ich pieszczotą i południa ciszą.

Nade mną na zdźbłach smukłych ciężkie kłosy wiszą....
Powietrze przepojone parną zboża wonią,
Śród zboża purpurowe maki żarem dyszą
Ukryte świerszcze wciąż piosenkę jedną dzwonią.

Śród zboża purpurowe maki żarem dyszą...
Upojne wonie płyną na powietrznej fali...
W zawrotnym tańcu hen motyle się kołyszą
I, jakby cudny sen, znikają w złotej dali.

Tak jak miłość namiętna, ogniem maki płoną...
Miłosnym żarem zionie na ziemię tarcz słońca,
Miłości szałem wzbiera rodne ziemi łono.
... Pożarem się przelewa w żyłach krew gorąca.

ZORA

MROK

Mrok szary cicho prószy,
Mrok szary cicho spada...
Z nim, jako cień, do duszy
Tęsknica wchodzi blada.

Jak pajęczyna siwa,
Mrok się po kątach ściele...
Tęsknota wydobywa
Iskrę, co śpi w popiele.

Mrok się po ścianach słania,
Do ciemnych kątów wciska...
Wspomnienie pierś rozrania,
Łzą bólu oko błyska.

Szarzeje w mętnej dali
Toń nieba blado-sina...
Serce się w ciszy żali,
Coś szepce, coś wspomina.

Ut desint vires ....”

MÓJ MĄŻ

Mój mąż chodzi mocnym krokiem,
kołyszącym chodem marynarzy:
mój mąż ma czoło wysokie —
rzadko uśmiech na kredowej twarzy.

Mój mąż ma oczy — dwie zorze,
nad niemi brwi — równe smugi.
Włosy ma cudne, jak z bajki,
miękkie, jak jedwab, i długie.

Mój mąż ma dłonie ze stali,
Korpus z kamienia wykuty.
Ma siłę tragarza z portu —
i chore serce poety...

„13”

ELYS

SIELANKA

Spokój złotych uśmiechów. Kwiaty na łąkach kołyszą biały dzień. Na wzgórzach stoją drzewa. Przeginają torsy zakute w pancerze kory, prężą obrosłe liśćmi ręce. Powietrze lśni.

— A — a — e — śpiewa Elys, siedzący na kraciastej chustce słońca.

— A — a — e — różowe koniczyny trójkątną łapką przytrzymują melodję.

Piersi pagórków aż o niebo się opierają. W szeleszczących falach powietrznych przeciągają karawany owadów. Dążą do wyzłoconej misy południa. Jaskrawe opary wznoszą się wysoko. Chóry motyli i much mijają Elysa pozdrowieniem:

— Eee — lll — yy — ss — ss — ss —

— Proszę usiądźcie na moim płaszczu — uprzejmie zaprasza wzamian.

Wydłużone torsy kiwają się w ukłonie. Długie wąsy owadów zawadzają niezręcznie o własne, wysokie nogi.

Wielki dzwon słoneczny zawieszony na środku nieba huczy i rozbrzmiewa donośnie.

Elys zsuwa się z ciepłego dywanu. Oplatają się jedwabne taśmy traw wokoło nóg. Skurczone horyzonty lekko drżą. Tylko młody gaj wybiega pędem naprzeciw. Rozkrzyczane drobne krzaki skaczą nieustannie. Wszędzie porozkładane obozy fioletowych, leśnych cieni.

Elys chce być za sadami, w których dzwonią słoneczniki, albo za seledynowem marzeniem macierzanek na łąkach. Ale przeszkadzają temu szklane wstążki źródeł snujących się zewsząd. Plączą się i niebieskiemi rękami opasują. I nietylko Elysa. Małe, drobne Rosanki zostały przez nie uwięzione. Więc się śmieją wietrznice. Tak bardzo, aż kwiaty odfrunęły. A jeszcze bardziej, gdy Elysa spostrzegły. Osuwają się zaraz na niego całą chmurą.

— Musisz pokonać te splątane i skłębione szklane węże źródeł... A nam zrobić złote sitka!... Musisz nam Elys, zrobić złote siteczka — mówią wszystkie razem. Nie mamy czem rozlewać rosy. Rękami robimy to nierówno!...

— Nierówno...

— W jednem miejscu jest zbyt dużo wody, w innem nic niema. Słyszałam nawet skarżących się wieśniaków. Mówią, że albo rośliny gniją z nadmiaru rosy, albo schną bez niej. Musimy mieć złote sitka. Dobrze, że cię spotkałyśmy. Dobrze, że sobie przypomniałyśmy o sitkach.

Błękitne sznury wód skaczą razem z Rosankami.

— Prosimy cię, Elys...

— Usuńcie się. Niemożliwe. Trudne. Przytem wiecie, jak nie lubią Ciemnice, gdy z wami rozmawiam. Jeszcze bardziej gniewałyby się o robotę sitek. Nie!

— Elys, Elys, — tak proszę.

Błękitna pierś Rosanki przylgnęła do piersi Elysa, kręgi rąk zagrały na jego szyi, ściemnione napływem krwi usta — zapachniały najbliżej.

Elys.

Świat podskoczył. Rozerwał się w kręgi czerwone i niebieskie zadyszane, zadyszane...

— Nie...

— Elys...

Przysunęły się wszystkie uściski, otworzyły okna niebosiężgłych przestworzy. Elys wyrwał się z ramion.

Zrobię. Nie mówcie tylko nikomu.

Wiatr rozwiewa ostatnie słowa. Ramiona źródełek chowają się pod krzaki. Nawet szum odbiegających Rosanek zakopuje się w ciszę. Ale cisza teraz jest czerwona, czerwona i pulsująca. Elys rozgląda się. Tyle zmian zaszło przez ten czas. Spokojne pasy ziemi pokładły się znużone. Drogi wyciągnęły ramiona w lewo i w prawo. W bladem zbożu chowają się kędzierowate małe wicherki. I wielka chorągiew słońca tak bardzo pochyliła się nad ziemią.

Elys leniwie stąpa. Szary piasek na drożynach skrupulatnie zaciera ślady: Wolno przechadzają się jałowce w ciemnych habitach. Dziewanny niosą nad głową lichtarze pełne żółtych płomyków. Potem drzewa dalekie i mocne prowadzą okrutne garbusy — chaty. Niektóre z kalek powspinały się na wzgórza. Opasują je szare koronki płotów. Głębokie otchłanie sionek porozwierały bezmyślnie drzwi. Elys zatrzymał się przy jednych.

Na dziedzińcu stoi mały chłopak prawie zupełnie nagi. W ustach trzyma fujarkę. Sączy się melodja piskliwa i jednostajna. Chłopaka otacza złote stado gęsi, zasłuchane, z powyciąganemi, jak struna szyjami.

Dziedziniec spływa po fioletowem wzgórzu do roztopionego u jego stóp — stawu słońca.

— Chodź mały, nauczę cię grać — woła Elys z za płotu.

Dziecko odjęło fujarkę. Uniosło krótką koszulkę i chwyciło jej brzeg ustami.

No chodź, nie wstydź się!...

Chłopiec stoi, jak wrośnięty, więc Elys sam podbiega do niego. Ujmuje za rękę, bierze biernie podaną fujarkę.

— Słuchaj!...

Zdaleka przez łąki, wzgórza, pomiędzy wioskami podchodzi pieśń brzóz o wiatrach — złych mordercach, chodzących zimą z szklanemi toporami: o ptakach nocujących na gwiazdach zimnych i srebrnych.

— Uważasz?! Spróbuj teraz sam.

Chłopak przykłada usta do fujarki. Dmie z siłą, na jaką go stać. Widzi, że chata podskoczyła, wydarła się z mchu i gołemi belkami zamigotała. W izbach, ze skrzyni wyskakują sznury korali. Odświętne spódnice matki zafrukotały i lecą przez drzwi w pola.

— Oj dana, oj dana — wiruje melodja czerwona i zgrzana.

Tańczą drzewa, trawy, gęsi, Elys i chłopak. Chłopiec nagle przerwał grę. Wszystko się zatrzymało w ostatnim ruchu. Chata tylko włazi powoli na wzgórek. Słoma leżąca przedtem w nieładzie ułożyła się w równe snopki, będąca w snopkach — w przeplatanki koszyczkowe.

— Pięknie grasz! Jak ci na imię? Piotrek! Pięknie teraz grasz Piotrku. Ale spójrz co się stało. Dębczaki wzięły się pod boki konarami. Słoma posplatała się, posplatała... w sitka... Daj mi je... Sitka Złote... Nauczę cię za to słońce chwytać i przytrzymywać jak ptaka.

— Weź!... Gdzie mieszkasz? Pomogę ci je zanieść. Weź. Mówisz, że to są złote sitka... Hi—hi—hi...

Nałożyli złote stosy przeplatanek na plecy. Drogi były teraz porozrywane, niektóre zaś zatonęły w mroku. Wykrzywione ręce wierzb groźnie nachylały się nad Elysem. Kilka pasem powietrza przeleciało gniewnie.

— Zatrzymaj się. Tu złożymy sitka pod pniem. Bardzo ci jestem wdzięczny za nie. Podaruje je Rosankom. Nie mają czem rosy rozlewać. Pobiegniemy je poszukać. Zobaczysz jakie są ładne.

Brnęli pomiędzy grzędami rozrzuconych warkoczy marchwi i pietruszek. Widocznie Rosanki już tu były, bo liście kalarep lśnią się, jak polakierowane. Istotnie. Zaraz za następną miedzą widać było srebrne robotnice. Pochylone. I tak uważają, aby z dłoni więcej wody nie wyciekło.

— Mam dla was złote sitka — krzyczy Elys. — Chodźcie.

Echo podaje głos daleko rozbieganym Rosankom. Śmieją się. Lecą naprzełaj: po listkach, kwiatach i owocach.

— Gdzie są sitka? Gdzie? A kto jest ten chłopiec?—pytają.

— Pomógł utworzyć mi sita, — objaśnia Elys. Tu leżą złożone. Bierzcie.

—Jakie ładne... jakie foremne... Musimy cię za to pocałować i uściskać... Więc lecą pocałunki, jak rozświergotane ptaki. Ramiona Rosanek są krągłemi, srebrnemi księżycami. Oczy mają rozkwitłe od blasków. Uściski schodzą po promieniach— prosto z zakutego gwiazdami nieba.

— Bardzo jesteś dobry Elys, taki dobry...

Piotrkowi tylko chce się spać. Przeciera piąstkami oczy. A po każdem przetarciu jeszcze więcej widzi Rosanek: wyraźniej słychać blaszano-szklany śmiech. Głowa mu przytem rozpuchła i wyjaśniała wewnątrz. Opiera ją o pień. Pełna ciężkich świateł. Wieczór coraz więcej pachnie. Rozpite woniami zioła bredzą gorączkowo. Brzaski są mokre. Przez zarośla przedzierają się Ciemnice. Jedna... druga... piąta... dziesiąta... Krążą. Spotykają się na szerokich polach i za opłotkami. Idą teraz razem wielką gromadą. Żony — Ciemnice szukają Elysa. Wiatr zarzuca im wielkie chusty na głowy. Z drzew odrywają czarne słowa, jak owoce. Zaraz spostrzegły męża. Tak łatwo. Tam gdzie kurzawa rozkrzyczanych blasków: szarych, srebrnych i przyćmiono-złotych. Ciemny pochód nerwowo przyspieszył kroku. Kładą się ciężkie spojrzenia jak głazy. Aż wielki krzyk odrywa się i powala Elysa.

— Zdradza nas... zdradza... z temi... wietrznicami...

Najgłębsze fiolety zadrżały. Po potężnych barach wzgórzy przebiegł dreszcz. Rosanki znieruchomiały. Przycisnęły się odruchowo do Elysa. Wicher strachu miota niemi, niby trawami. Rozlatują się z głośnym płaczem. Szlochają ukryte w miedzach.

— Boimy się... boimy się... — jęczą.

Światło otaczające Elysa jest mizerne, seledynowe. Kwiaty i drzewa odbiegły. Naga obrosła zdradą ziemia wysuwa się.

— Ty nędzna, wstrętna imaginacjo, ty poczwaro myślowa — takież są twoje postępki?... — zwracają się przeciw niemu rozszalałe Ciemnice. A nasza młodość, nasza młodość ci ofiarowana, czarne, krucze włosy... Wszystko nadarmo, wszystko straciłyśmy. Byłyśmy takie wierne. Co zrobiłeś z naszem życiem? Co z niego zostało? O, my nieszczęśliwe!...

Ciemnice wybuchły wielkim płaczem. Trzęsą się, szlochają. Zaraz jednak czerwonemi błyskawicami gniewu cisnęły, aż niebo pojaśniało.

— Ale nie darujemy ci swojej krzywdy. Poznaj, kim jesteśmy. Ty urwipłachto, ty zabawnisiu, amorku pierzchliwy!...

Wszystkie głosy nieba i ziemi łączą się z głosem Ciemnic. Ryk i jazgot rozniósł się szeroko. Ciemnice chwyciły za wielkie bicze wiatru i smagają niemi Elysa. Drapieżnemi rękami wyrywają blaski. Elys leży szary i nieruchomy. Światła oczu zmroczone ukryły się pod powiekami.

— Niech nie będzie światła, ciepła, ale i niech ciebie nie będzie!... — klną jeszcze ciągle Ciemnice.

Porozsiewane wrzaski rozrastają się po całej ziemi.

KONIEC.

Na tem kończymy dział literacki.

Prosimy o jaknajliczniejszy udział w głosowaniu.

KRYSTJAN TERSKI

NAUCZYCIELSTWO A MAGISTRAT I RADA SZKOLNA

Nędzny byt materjalny nauczycielstwa fala za falą podcina nadal jeszcze. W listopadzie otrzymaliśmy już po raz ostatni 30 zł. dobrowolnego dodatku magistrackiego — wszak wszystko, co dobrowolne, Magistrat cofnął, a przedewszystkiem wyrzekł się wszelkiej „dobrowolności" — dobrej woli — w stosunku do nauczycieli miejskich szkół powszechnych. Jest to aż nazbyt znamiennem, że decyzja odjęcia 10-ciozłotowego dodatku dobrowolnego zapadła jeszcze w maju b. r., a więc w okresie poprzedzającym masową redukcję wydatków na oświatę. Zaiste, trudno to sobie wytłumaczyć. Czy naprawdę godnem jest stanowiska Magistratu m. st. Warszawy, by w dobie najcięższego położenia materjalnego szczególnie nauczycieli szkół powszechnych, śpieszył się z odjęciem wypłacanych dobrowolnie 10 zł. miesięcznie? Czyżby aż tak daleko suma owego dodatku decydowała o równowadze budżetu miejskiego, że miasto widziało jedyną i nagłą konieczność cofnięcia go nawet wtedy, kiedy tymże nauczycielom obniżono pobory o 38 proc., kiedy Skarb Państwa przestał wypłacać dodatek mieszkaniowy i kiedy ogrom i trud pracy nauczycieli w dobie katastrofy szkolnej uległ nadmiernemu zwiększeniu? Jeżeli tak, to magistracka decyzja równa jest podaniu brzytwy tonącemu. Stanowiskiem tem Magistrat dał dowód, że wyrzeka się troski o byt nauczycieli miejskich szkół powszechnych i to w momencie, kiedy pobory nauczyciela według IX grupy uposażenia i po 11 latach pracy wynoszą 242 zł. i 33 grosze.

A jednak Magistrat tak nie mógł zrobić. Zbyt wiele pracy nauczyciele spełniają dobrowolnie na rzecz Komisji Powszechnego Nauczania, będącej przecież organiczną częścią Wydziału IX Oświaty i Kultury. Pracy tej dotychczas nauczyciele się nie wyrzekli i z tą samą gorliwością spełniają ją dobrowolnie i nadal. Na czemże ona polega?

Polega na dokonywaniu zapisów dzieci nowowstępujących, na sporządzaniu wszelkiego rodzaju wykazów statystycznych, list frekwencyjnych, kontroli nieprzestrzegania obowiązku szkolnego, korespondencji w tym celu z rodzicami, na udziale w miesięcznych posiedzeniach sądów dzielnicowych i t. d. i t.d. Pracy tej jednak Magistrat nie docenił, Komisję Powszechnego Nauczania obecnie już przekazał Radzie Szkolnej, a dodatek dobrowolny dla nauczycieli cofnął. Niedość tego.

Znamy drugi rodzaj krzywdy, czynionej nauczycielom szkół powszechnych. Oto jest pewna ilość nauczycieli mieszkających na poddaszach miejskich baraków szkolnych i garstka mieszkających w nowobudowanych domach nauczycielskich. Z chwilą wejścia w życie dekretu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie obowiązku dostarczania mieszkań nauczycielom szkół powszechnych przez samorządy terytorjalne, z jednoczesnem wstrzymaniem wypłacania ze Skarbu Państwa dodatku mieszkaniowego dla ogółu nauczycieli — tych właśnie nauczycieli spotkała jeszcze dalsza krzywda. Oto im właśnie dodatek mieszkaniowy cofnięto i wytworzyła się taka sytuacja, że nauczyciel samotny, płacący dotychczas Magistratowi 18 zł. za mieszkanie, dziś nie otrzymuje dodatku mieszkaniowego w wysokości 26 zł.; a nauczyciel z rodziną, płacący 34 zł., dziś nie otrzymuje 60 zł. Rozporządzeniu Pana Prezydenta stało się zadość, ale nauczyciela spotkała krzywda.

Pokrzywdzeni — już nie wiem po raz który — składali memorjały, prosili, lecz władze miejskie dotychczas różnic nie wypłaciły, choć w analogicznych wypadkach w stosunku do pracowników miejskich stosują sprawiedliwą zasadę zwrotu — o czem już i prasa mówiła.

Wskutek tego jesteśmy dziś świadkami wyprowadzania się z mieszkań magistrackich tych właśnie nauczycieli, którym ta różnica stanowiła kilkadziesiąt złotych in minus ich pensji miesięcznej. Są więc i takie wypadki. Ale nie wszyscy z pokrzywdzonych mogą takie mieszkanie opuścić. Tacy mieszkają nadal i nadal zmuszeni są wyzbywać się, ponad właściwą należność komornianą, kilkunastu lub kilkudziesięciu złotych

miesięcznie na rzecz kasy miejskiej. Czyż możliwem jest, żeby Magistrat m. st. Warszawy, który okazuje tyle pobłażania, wyrozumiałości i ustępstw dla nazbyt często strajkujących tramwajarzy, nie zdobył się na właściwą ocenę krzywdy, jaką wyrządza nauczycielom? Czy my, nauczyciele, istotnie mamy wierzyć głosom obiegającym nas, że Magistrat nosi się z zamiarem cofnięcia przyznanej nam taryfy ulgowej za światło elektryczne? Zaprawdę, fala za falą coraz bardziej podcina nawskroś nędzny byt mas nauczycielskich stolicy i spycha na najniższy stopień bytu materjalnego z pośród warstw kulturalnych tak, że my wkrótce żyć będziemy już tylko swem posłannictwem. A gdzież są przyjaciele oświaty, gorący zwolennicy powszechnego nauczania szerokich mas ludności, że byt nauczyciela, pioniera oświaty powszechnej został tak strasznie obniżony w sercu Polski, w Warszawie?

Co w tej sprawie uczyniła Rada Szkolna m. st. Warszawy, która wszakże zakreśliła sobie zadanie przychodzenia z pomocą, zadanie troski o polepszenie bytu nauczycieli? Przecież Rada Szkolna posiada w swem łonie Komisję Powszechnego Nauczania, na rzecz której nauczyciele spełniają taki ogrom prac dobrowolnych; przecież Rada Szkolna wespół z nauczycielstwem prowadzi masową akcję dożywiania dzieci rodziców bezrobotnych, akcję zaopatrywania tychże w ciepłą odzież zimową, wysyłania na kolonje i półkolonje letnie. Jesteśmy zupełnie świadomi tego, że praca nauczycieli stanowi podstawowy czynnik akcji, która ostatnio tak szeroko rozwinęła Rada Szkolna i która przynosi jej niemało zasług w oczach mieszkańców stolicy.

Dziś Rada Szkolna zyskała wiele w opinji publicznej, potrafiła zainteresować swoją działalnością najwyższe czynniki Państwa, znaczenie jej widocznie rośnie — ale ta sama Rada nie może zapominać o zasługach nauczycielstwa. Tylko stałe, czynne i bezinteresowne współdziałanie tegoż nauczycielstwa na terenie poszczególnych szkół gwarantuje ciągłość tej pracy i jej skuteczność. Znaczy to zarazem, że działalność Rady Szkolnej to nie działalność jej urzędników — a ideowa i na

umiłowaniu swego zawodu oparta działalność nauczycieli szkół powszechnych stolicy. Oby Rada Szkolna w nowym swym składzie widziała tę rzeczywistą rzeczywistość, do czego niewątpliwie przyczynić się mogą nowi jej członkowie — nauczyciele kol. kol.: Smulikowski i Gawski. Dziś już ogrom spraw, które czekają pomocy i rozwiązania Rady Szkolnej jest bardzo wielki. Z uwagi na stanowisko, na znaczenie, jakiem dziś rozporządza Rada Szkolna wierzymy, że jej członkowie użyją tylu starań, środków i skutecznych zabiegów na terenie Rady Miejskiej i Magistratu, by sprawa wyrównania wielu zadanych krzywd nauczycielstwu stolicy znalazła w nich skutecznych obrońców i opiekunów.

Pomocy Rady Szkolnej czeka również bardzo bolesna sprawa ulg tramwajowych dla nauczycieli. Poświęcono jej już wiele zachodu, konferencyj z odpowiedniemi czynnikami, jednak bezskutecznie, gdyż swoista, przyczem bardzo wygodna interpelacja odpowiedniej uchwały Rady Miejskiej w tej mierze Dyrekcji Tramwajów Miejskich — stoi temu na przeszkodzie. W ostatnich znowu czasach zaczyna nas mocno niepokoić szereg kradzieży, dokonywanych w domach nauczycielskich. Dzieje się to dzięki temu, że Magistrat odciąga dozorców domowych od czuwania nad mieniem lokatorów, zajmując ich w różnych godzinach dnia, jako woźnych szkolnych. Skutki tych niedopuszczalnych poczynań nie dały na siebie długo czekać.

Oto przy ul. Otwockiej 3 okradziono koleżankę, zabierając jej części odzieży i resztę pensji grudniowej. Dziś niema prawie lokatora przy ul. Otwockiej, któremuby coś nie zginęło, któregoby w ten czy inny sposób nie okradziono.

A dozorca w dalszym ciągu sprząta salę gimnastyczną. Gdzież więc zrozumienie, gdzie opieka nad skromnym majątkiem osobistym i nędzną pensją nauczyciela?

Na złe trzeba szukać rady. Rady tej i pomocy oczekujemy od Rady Szkolnej.

W niej nasze nadzieje.

R. FRÜBOES.

Wrażenie z wycieczki Sekcji Wycieczkowej Oddziału.

NA ZIEMIACH FRANCJI.

Warszawska Sekcja Wycieczkowa Związku Nauczycielstwa Polskiego zorganizowała w okresie ubiegłych feryj letnich wycieczkę krajoznawczą do Francji i Włoch. Wzięło udział sporo koleżanek i kolegów ze szkół powszechnych i średnich; prowadzili kol. kol. R. Früboes i J. Kostecki.

Prócz krajoznawstwa, zwiedzenia pięknej wystawy kolonjalnej w Paryżu, głównym celem było nawiązanie kontaktu z pokrewnemi organizacjami nauczycielskiemi zagranicą, jak Związek Nauczycielstwa Polskiego we Francji, zobaczenie jak żyje i pracuje nasz brat-nauczyciel na obczyźnie, jak czuje i myśli lud, ta szara rzesza emigracji robotniczej polskiej. W tym celu odwiedziła wycieczka kolonję polską w Le Mureaux, miasteczku, liczącem kilkanaście tysięcy mieszkańców, położonem wśród pagórkowatej pięknej okolicy o godzinę jazdy pociągiem z Paryża.

Schludne, czyste miasteczko, w rodzaju naszego Wejcherowa, posiada wygodne asfaltowane ulice, wyłożone gdzieniegdzie kostką granitową. Bielone domki murowane z charakterystyczną dla prowincji francuskiej czerwoną dachówką łamanych dachów i mansard, piękne wille toną w zieleni lip, akacyj i kasztanów, które nad ulicami rozrosły się w cieniste stropy z listowia. Nad domami z brzęczeniem i zgrzytem pełzną powoli, jak pająki, zawieszone na drucie wagoniki kolejki powietrznej, dowożącej surowiec na cegłę. Dalej widać pagórkowate rozłogi pól, na których gorącem złotem kłosi się już pszenica, wąsaty jęczmień pochylił głowy i duma, duma o bliskiem żniwie; dalej rozciągają się zielone kobierce winnic, a za niemi ciemnym parawanem lasu zasłania się oczom widnokrąg francuski. Pobudzona myśl wyrywa się tam, hen, za tą czarną ścianą boru i żywemi barwy fantazji maluje obraz wsi naszej,

strzechatej, wyciągniętej sznurem z obydwu stron drogi czy rzeczki, gdzie rozbrzmiewa pieśń polska i mowa polska.

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Z tą myślą na sercu, a twardą pracą na dłoni namulonej wita tu dzień swój niejeden emigrant polski; tu zarabia na utrzymanie swoje i rodziny, jakże często licznej i ślicznej odrębnością swoją od otoczenia, obcego językiem i obyczajem.

Nad zachowaniem tych serc dla ojczyzny pracuje tu również nauczyciel polski. Ciężką i znojną jest ta praca.

W Le Mureaux naucza niestrudzony opiekun naszej wycieczki, znany działacz na polu społecznem, prezes Ogniska paryskiego Związku Nauczyc. Polskiego, kol. Pietrzyk Józef. Dojeżdża popołudniu z Paryża i uczy małych, uczy i dorosłych. Szkoła mieści się w dwóch salkach jakiegoś budynku przy — czy poklasztornego.

Wchodzimy do klasy. Stęchlizna, wilgoć, zapach kurzu i wyziewów ludzkich. Okna zamknięte. Sala nieprzewietrzona. Ławki długie staroświeckie, nie odpowiadają wymiarami dzieciom, których kilkoro zebrało się już w sali. Na podłodze kawałki papieru, piasek. Tablica zagryzmolona jakiemiś kulasami. Wszędzie panuje wszechwładny kurz, na katedrze, na ławkach, na olbrzymim ciemnym krucyfiksie, na rozwieszonej mapie Francji.

Nie widać dozorcy, ni woźnego szkolnego. Zresztą, słyszałem od jednej z koleżanek, że nauczyciele francuscy sami, podobno, zamiatają izby szkolne, czasem robią to ich elewi. Niezbyt zachęcające.

Program nauki w kompletach polskich (tak się nazywa szkoły polskie) obejmują naukę czytania i pisma, wiadomości z geografji i historji ojczystej w łączności z nauką języka polskiego, śpiew, gry i zabawy ruchowe i... koniec. Chodzi tu nietyle o wiadomości materjalne, ile o wychowanie i pielęgnowanie uczuć miłości i przywiązania dla dalekiej Ojczyzny. Jest to niezmiernie ważne, zwłaszcza w tym okresie życia dziecka polskiego, tak szybko asymilującego się w nowem otoczeniu. Przychodząc z rannej szkoły francuskiej na popołudniową

naukę polską, szczebiocą, kłócą się między sobą już w obcej mowie, nawet na lekcji tłomaczą sobie trudniejsze wyrazy polskie na język francuski, pozatem są już znużone przedpołudniową pracą w szkole, co jeszcze więcej utrudnia akcję nauczyciela, zajmującego się jeszcze kształceniem dorosłych analfabetów, prowadzeniem chórów, organizacją kas samopopomocy, e. t. c. Niejednokrotnie występować on musi w roli arbitra, godzącego strony poważnione, wnikać nawet w intymne sprawy życia rodziców dla dobra ich i młodego pokolenia, oddziaływać społecznie na starszych.

Próbkę tego miała wycieczka na wieczornem zebraniu kolonji w tymże dniu. Wieść o przybyciu wycieczki naszej do Le Mureaux rozniosły dzieciaki po domach. Na dziedzińczyk szkolny przybywać zaczęli, nie bez pewnej tremy, starsi. Przybył też i pan prezes kolonji, tęgi młody murarz czy cieśla i ściskał nam dłonie serdecznie a mocno. Rozpoczęła się pogawędka, potem śpiew wspólny, przemówienia. W przystępie szczerej radości i nagłego rozczulenia, nie zapomniano też i o skargach. Wysłuchać musieliśmy całej gamy minorowej z siedmioma krzyżami uniesień i narzekań na organizacje emigranckie, mało jakoby opiekujące się swymi członkami. Ton elegji ustąpił jednak wkrótce miejsca nastrojowi radości z powodu naszego widocznego zainteresowania się ich losem. Odpowiadając na przemówienia, jako kierownik wycieczki, podkreśliłem jednak konieczność łączenia się w organizacji dla wspólnej, zgodnej i wydajnej pracy dla lepszego jutra. Wszyscy zadowoleni opuszczali salkę szkoły i szczęśliwsi wracali do domów, my — na dworzec kolei, żegnani przez senjorat kolonji z prezesem na czele.

W wagonie szybkomknącego pociągu w takt kół, wydzwaniających swe piccicato na złączeniach szyn, snuliśmy dalej nić refleksji z Le Mureaux. Wszyscy zgodzili się, nawet ci, co już drzemali, znużeni wrażeniami dnia, i kiwali przez sen głowami, że takie wizyty z kraju, odpowiednio zorganizowane i przygotowane przez nauczycielstwo mogą przynieść dużo pożytku, zwątpiałe serca napełnić otuchą, ożywić organizm, oderwany od pnia macierzystego.

Czarne szyby okien kołyszącego się wagonu zaczęły zwolna czerwienieć od dalekiej łuny. W ciemnościach nocy błyszczały pojedyncze perły świateł elektrycznych, potem całe ich sznury zapłonęły na horyzoncie, a nad którym wysoko na niebios aksamicie jak fata morgana, rysował się drgający miljonem żarówek potężny Eifel z olbrzymią reklamą Citroena.

— Paryż!...

— La grande capitale du monde...

U WRÓT ZIEMI ŚWIĘTEJ

Ostatnia noc na morzu, jak tafla szklana gładkiem, cichem i sennem.

Tam w górze nieskalane niebios błękity przyćmione kirem nocy i przetkane miljonem jasnych punkcików, „obrzmiałych blaskiem i drgających, jak zatrzymany w locie ku ziemi deszcz brylantowych łez".

Księżyc srebrzysty przymrużył śpiące źrenice i płynie, płynie wolno, leniwie wśród drżących cekinów gwiezdnych w niebieskiej dali.

Morze lśni w księżycowej poświacie. Szeroki pas srebra kładzie się na wodzie, by wznieść się daleko ku górze, hen, ku bladej twarzy księżyca.

Dalej wokoło toń czarna, głęboka i tajemnicza iskrzy się dziwną fosforescencją wód.

O, nocy cicha, w sny błogich uniesień brzemienia, tajemnych upojeń sezamie.

Spiekota dnia wypełzała wciąż jeszcze z rozgrzanych ścian, podłóg i wszelkiego żelastwa okrętu.

W kajucie, jak w parniku, gorąco i duszno. O spaniu ani mowy. Tem bardziej, że w miarę zbliżania się do Ziemi Świętej

tyle myśli tłoczyło się do głowy, tyle uczucia wypełniło serce po brzegi, że sen zupełnie pierzchnął z oczu.

Noc spędziłem samotnie na górnym pokładzie okrętu, który całą siłą pary pruł wodną pustynię ciągle w jednym kierunku ku niewidzialnym brzegom tej ziemi, gdzie narodził się On w ubożuchnej stajence w grocie betlehemskiej.

W siwych dymach oparów morza szarzał ciepły poranek.

Lekki wiaterek chłodny zerwał się ze wschodu, zmarszczył gładką jeszcze przed chwilą powierzchnię wód, załopotał płótnem leżaków na pokładzie, targnął firankami w oknach kajut, spłoszył sen nocy i popędził dalej na morze budzić rozespane wody, samotnie płynącym okrętom dzień nowy oznajmiać.

Gwiazdy gasły na niebie. W mętnej wód dali poczęli rysować się czarne kontury lądu, mieniącego się szumem świateł dalekiego miasta.

Oko latarni morskiej mrugało zdaleka na powitanie.

To port w Jafie.

Marynarze zaciągają na maszty flagi Palestyny.

W aureoli szkarłatu i złota wschodzi słońce nad ziemią proroków, świętą ziemią misterjów religijnych.

* * *

Panu Doktorowi, **Statkowskiemu Jerzemu,** konsulowi generalnemu Rzeczypospolitej Polskiej w Jerozolimie, jako też czcigodnej siostrze **Elżbiecie,** przełożonej Domu Polskiego w Jerozolimie za troskliwą opiekę i pomoc podczas pobytu wycieczki nauczycielskiej w Palestynie składa serdeczne podziękowanie wraz z życzeniami noworocznemi na 1932 Rok Pański.

Sekcja Wycieczkowa Oddziału miasta stołecznego Warszawy Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Sprawy organizacyjne i komunikaty.

ODCZYT NA TEMAT:

„Równowaga między produkcją a konsumpcją“ wygłosi prof. Jan Kwieciński w lokalu Związku dnia 11-go stycznia 1932 roku.

KOLEŻANKI, KOLEDZY! Przybądźcie licznie na tak wyjątkowy odczyt, sięgający swą treścią do istotnych przyczyn zła i trapiących nas bez potrzeby niedomagań gospodarczych i społecznych celem poparcia prelegenta moralnie i materjalnie, aby ułatwić jak najprędzej wydrukowanie rozpoczętej broszury, p.t. „REALIZACJA 6-ciu IDEJ SPOWODUJE RYCHŁO POWSZECHNY DOBROBYT“ okazując tym sposobem pewną pomoc w propagowaniu jego szlachetnych usiłowań dla powszechnego dobra odrodzonej Ojczyzny.

Wejście na odczyt złotych 1.

WYCHOWANIE I HARCERSTWO

Zarząd Sekcji Pedagogicznej zawiadamia, że w poniedziałek 11-go stycznia 1932 r. o godz. 19-ej w lokalu Związku p. J. Lechowski wygłosi referat p. t.

„Cele i zadania ćwiczeń cielesnych“

Wszystkich kolegów, którzy interesują się wychowaniem fizycznem i organizacją harcerską, prosimy o przybycie.

Po referacie nastąpi zorganizowanie Podsekcji wychowania fizycznego i harcerstwa.

„PALESTYNA WSPÓŁCZESNA“.

Sekcja Wycieczkowa Oddziału Warszawskiego Z. N. P. zawiadamia, że we wtorek dn. 12 stycznia r. b. o godz. 7 m. 30 wiecz. w sali szkoły powszechnej Nr. 8, Karolkowa 64

kolega Rajnhold Frűboes wygłosi odczyt p. t.

„Palestyna współczesna“

w którym zostaną omówione aktualne zagadnienia społeczno-oświatowe na tle stosunków politycznych (sprawy arabskie i żydowskie „Jewish home“) w Ziemi Świętej.

Odczyt ilustrowany będzie własnemi zdjęciami prelegenta na specjalnym aparacie epidjaskopie oraz zdjęciami filmowemi z Syrji i Palestyny.

Wstęp dla członków Związku bezpłatny, niecżłonkowie płacą po 50 gr.

Dojazd tramwajami Nr. Nr.: 5. 9, 11, 15, 16, 21, Z do rogu Wolskiej i Karolkowej, lub Leszna i Karolkowej.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA OKŁADKĘ „GŁOSU WARSZAWSKIEGO".

Z siedemdziesięciu nadesłanych projektów Komisja Konkursowa przyjęła projekt, zaopatrzony godłem „A".

Po otworzeniu koperty z nazwiskiem autora okazało się, że jest nim p. Józef Pakulski, student Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie.

Jury stanowili kol. kol.: St. Gabrjel, St. Prochera, St. Dobraniecki.

KALENDARZ SEKCJI PEDAGOGICZNEJ.
na m. styczeń

7-go pds. Przyr.-Geogr., 8-go pds. Rysunków, 9-go pds. Śpiewu, 11-go pds. Wychowawcza, 12-go pds. Humanistyczna, 14-go pds. Klas Niższych, 15-go pds. Wych. fiz., 16-go pds. Robót, 18-go pds. Psychologiczna, 19-go pds. Matematyczne, 21-go pds. Przyr.-Geogr., 22-go pds. Języków Obcych, 23-go pds. Śpiewu, 25-go pds. Wychowawcza, 26-go pds. Humanistyczne, 28-go pds. Klas Niższych, 29-go pds. Rysunków. 30-go pds. Robót.

SEKCJA KULTURALNO-ARTYSTYCZNA podaje do wiadomości Sz. Koleżankom i Kolegom, że we wtorki od godz. 8-ej do 9 i pół w. odbywa się chór: Piosenki Szkolne pod kierunkiem prof. Tadeusza Mayznera.

W środy od godz. 7-ej do 8 i pół w. odbywają się recytacje zespołowe pod kierunkiem kol. Henryka Ładosza.

Chór nasz i zespół recytacyjny brał czynny udział w Andrzejkach w Akademji ku czci ś.p. Jadwigi Jahołkowskiej.

Bilety ulgowe do wszystkich teatrów i kin otrzymać mogą członkowie Związku za okazaniem swojej legitymacji: Chmielna 9 m. 11.

Informuje w tych sprawach kol. Halina Zieleńczykówna we wtorki i środy od godz. 6-ej do 8-ej w.

KRONIKA

KONFERENCJA W SPRAWIE WSPÓŁPRACY SZKOŁY Z DOMEM.

W dniu 22 listopada r. b. w Gmachu Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych odbyła się konferencja na temat współpracy szkoły z domem na terenie m. Warszawy. Konferencję organizował Państwowy Instytut Nauczycielski, którego słuchacze w ciągu roku ubiegłego opracowali powyższe zagadnienie, przeprowadzając odpowiednie badania na terenie powszechnych szkół warszawskich.

Całość zagadnienia na konferencji przedstawiona została w czterech następujących tematach: 1. Warunki pracy w szkołach powszechnych m. st. Warszawy w związku z zagadnieniem współpracy z domem. 2. Formy współpracy oraz ich wartość. 3. Wpływ różnych czynników na współpracę. 4 Znaczenie współpracy szkoły z domem.

O doniosłości zagadnienia współpracy szkoły i domu, przekonywujemy się coraz bardziej, świadczy o tem choćby ogromna liczba obecnych na konferencji oraz udział w dyskusji, która z braku czasu nie mogła się szerzej rozwinąć, a szkoda, gdyż nawet krótki przebieg dyskusji wykazał, jak różne treści różni mówcy podkładają pod miano współpracy szkoły z domem. Aczkolwiek głównem zadaniem referentów było poinformowanie zebranych z opracowanym materjałem ankietowym, tem niemniej podkreślili oni mocno na jakich zasadach winna być realizowana współpraca szkoły i domu.

Dobrze się stało, że redakcja „Pracy Szkolnej" ma zamiar drukować wygłoszone na konferencji referaty.

KONTAKT INSTYTUTOWCÓW ZE ZWIĄZKIEM.

Między związkowcami, słuchaczami Instytutu Naucz. a Zarządem Głównym Związku istnieje ścisły kontakt. Jak w roku ubiegłym, tak i w tym odbywają się co pewien czas wspólne zebrania. Takie właśnie zebranie miało miejsce w dniu 16 grudnia r. b. w lokalu Związku.

Kol. Smulikowski zapoznał zebranych z projektowanym ustrojem szkolnictwa, oraz omówiony został szereg innych spraw aktualnych. W miłym nastroju upłynął czas na koleżeńskiej pogawędce.

Z. W.

RECENZJE.

K. Skrzypczyk i St. Wichura. „Nowe czytanki muzyczne" (solfeż). Stopień I. Wydanie II. Nakład i własność autorów.

Treść tej książeczki składa się z 32 ćwiczeń, które można podzielić na 4 grupy (rodzaje).

Do pierwszej grupy zaliczyć należy ćwiczenia od N-o 1 do 17 włącznie. Występują tu jedynie wartości jednomiarowe (ćwiartki) w taktach dwu i trzy ćwierciowych.

Druga grupa, poczynając od ćwiczenia 18 do 24 włącznie, obejmuje ćwiczenia w taktach 2 i 3 miarowych z zastosowaniem półnoty, półnoty z kropką, oraz ćwierciowej.

W ćwiczeniu 25 (grupa 3, od N-o 25 do 28) napotykamy nutę 4-o miarową (cała nuta), oraz takt 4) 4.

Grupa czwarta (od N-o 28 do 32) zawiera łatwe ćwiczenia na ósemki.

Autorowie stopniowo zaznajamiają dzieci z symbolami muzycznemi, wprowadzając do ćwiczeń po jednym znaku, jak to zwykliśmy czynić przy nauczaniu czytania. Stopniowanie trudności przeprowadzono starannie i umiejętnie. Ze skoków (interwali) uwzględniono tu primy, sekundy, oraz łatwe interwale przeskokowe-przygotowane, a ponadto w ćwiczeniach 24, 26, 27 widzimy tercje trójdźwięku I-go stopnia gamy (do'—mi', mi'—sol') i kwartę sol'—do².

Cały podręcznik nosi charakter elementarza i ozdobiony jest 7 rysunkami; druk nut — w dwóch kolorach (czarny i zielony).

Całość, jak pod względem treści, tak i zewnętrznej formy robi bardzo miłe i dodatnie wrażenie. Praca ta w zupełności nadaje się jako podręcznik dla dzieci na oddział drugi szkoły powsz. (drugi rok nauki).

K. Skrzypczyk i St. Wichura. „Nowe czytanki muzyczne" (solfeż). **Stopień II.** Wydanie I. Nakład i własność autorów.

Część ta jest pierwszą książeczką po elementarzu do nauki czytania nut głosem i podzieloną została przez autorów na 5 rozdziałów. Rozdział pierwszy zawiera materjał kursu oddziału drugiego. (powtórzenie). Umieszczono tu ćwiczenia na sekundy, primy o jednakowych i różnych w ar tościach nut w takcie 2, 3, i 4-o miarowym. Pozostałe rozdziały (2, 3, 4, 5) zawierają 2 rodzaje ćwiczeń (każdy z powyższych rozdziałów):

I) ćwiczenia rytmiczno-głosowe (gamy rytmizowane), oraz
II) czytanki muzyczne (solfeż).

Sposób ujęcia, układ ćwiczeń tego podręcznika podobny jest do układu, jaki stosujemy, nauczając solfeżu (tonacja C dur) metodą **Tonic-Solfa.**

Zachodzi tu jednak pewna różnica zdań i poglądu na rodzaje stosowanych sposobów przy nauczaniu solfeżu.

Autorowie nie kładą tak wielkiego nacisku na charakterystyczne brzmienie wszystkich poszczególnych stopni gamy, ograniczając się jedynie do utrwalenia w pamięci brzmienia nuty prowadzącej i półprowadzącej.

Podręcznik ten, pomimo pewnych braków posiada jednak bardzo wiele zalet, a dzięki krótkim wskazówkom, oraz odpowiednio dobranym ćwiczeniom naprowadzającym, służyć może nietylko jako podręcznik dla ucznia, lecz ponadto, jako doskonały samouczek dla tych nauczycieli, którzy, nie znając solfeżu, chcą go poznać tylko w zakresie jednej tonacji C dur.

EHE

TO i OWO

Z NASZEJ „SZOPKI“.

I

Ma brodę — a nie święty.
Ma klucze — nie od Raju.
Uważa na zakręty,
Gdzie inni nie czuwają.

II

Różowa, uśmiechnięta
Wszystkich członków nazwiska, imiona pamięta,
Pogodna, choć Jej czasem ktoś w biurze nagdera
I kocha bez pamięci filmowego artystę Coopera.

III

W kartotece członków liczy,
Ściąga składek zaległości.
Pełna wdzięku i słodyczy
A kto w Jej serduszku gości?

IV

Rozpalił ogień Pedagogji,
Obudził śpiące bataljony.
Jeśli nie stanie w pośród drogi,
Z Podsekcyj będą świetne plony.

V

Z nawyku czy obowiązku
Ciągle śpieszy się do Związku.
Chłop — jak złoto (Byłby święty),
Gdyby nie ten jęzor cięty.

VI

Socjolog prima sort,
A tańczy jak marzenie!
Od dziś ukochał sport
I nawet sypia już w basenie.

VII

Finansów dzierży Skarbnice,
Pożyczką Cię często pocieszy,
Lecz krążą o tem już witze,
Jak nigdy mu się nie śpieszy...

VIII

Dowcipu i humoru obfitość chodząca
Ręka — żywego słowa bogactwo siejąca.
Talent — społecznie służyć wciąż gotowy.
A Boleść Jego: recytacyjny zespół jednopłciowy.

IX

Gdy mówi, — nie mów Ty:
Gadaniem Cię zaleje.
Szczebioce słodko: pci-pci-pci...
Lecz któż się z Władzy śmieje!?

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Kol. Kol. Z. B. i R. W. Nadesłane na konkurs literacki utwory-rękopisy otrzymać można w Kancelarji Oddziału w godz. 10—15 codziennie do dnia 15. I. 1932.

Kol. **Jap:** Niestety, całego numeru tym sprawom poświęcić nie możemy. „Pod patelnią" najlepsze. Może skorzystamy.

Członkowie Oddziału Warszawskiego Zw. N. P. otrzymują „Głos Warszawski" bezpłatnie.

Prenumerata „Głosu Warszawskiego" wynosi: rocznie 5 zł., półrocznie 3 zł., numer pojedyńczy — 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny oraz wydawca z ramienia Zarządu Oddziału Warszaw. Zw. N. P.—
STANISŁAW DOBRANIECKI.

Zakłady Graficzne „LITART" Sp. z o. o. Warszawa.

WYKAZ FIRM

w których członkowie Oddziału Warszawskiego Związku N. P. mogą otrzymywać towary na raty:

1. **Herse Bogusław** — Marszałkowska 150.
2. **Bracia Jabłkowscy** — Bracka 25.
3. **Węgierski Stan.** — (Mag. bław.) Marszałkowska 64.
4. **Tarnowski Jan** „ „ Marszałkowska 133.
5. **Efraim M.** — (wełny, jedw., koron.) Marszałkowska 125 i Długa 50.
6. **Cwejko I.** — (wełny, jedw., koronki) Bielańska 23.
7. **Szyszko E.** — (konf. damska i dziec.) Marszałkowska 99.
8. **Molenda Gustaw** (skład fabr. sukna) — Nalewki 29.
9. **Aijot** (galanterja) — Kilińskiego 3.
10. **Biłowicka** (konf. dziec.) — Marszałkowska 91.
11. **Fuchs** (trykotaże) — Nalewki 2.
12. **L'hiver** (skład futer) — Miodowa 25.
13. **Centrala Obuwia** — Krucza 25.
14. **Obremski H.** (mag. obuwia) — Senatorska 27.
15. **Waszkiewicz** (prac. kraw.) — Nowogrodzka 14, tel. 271-41.
16. **Zając** (prac. kraw.) — Śniadeckich 16.
17. **Fraget** (wyr. srebrne i platery) — Marszałkowska 64.
18. **Zegrze J.** (skł. jubil.-zegarm.) — Nowy-Świat 30.
19. **Węgloblok** (skład węgla) — Ordynacka 11.
20. **Silemin** „ „ — Mazowiecka 2.
21. **Nasza Księgarnia** (książki) — Ś-to Krzyska 18.
22. **Radjo-Jar** (aparaty fotogr. i radjowe) — Nowy-Świat 50.
23. **Ruszkowski** (mag. obuwia) — Sienna 8.
24. **Futra Sezonowe** — Nowy-Świat 26.
25. **Parker** (wieczne pióra) — Kancelarja Oddz. Warsz.
26. **Majchrzak Wacław** (pracownia krawiecka damska) — Wspólna 6 m. 21
27. **Bracia Pakulscy** (towary kolonjalne) —
   filje: Bracka 22, Marszałkowska 110, Marszałkowska 57, Raszyńska 15.

Kupon I

Konkurs literacki „Głosu Warszawskiego"

Za najlepsze uważam trzy następujące utwory (podać tytuły)

1. ....

2. ....

3. ....

Nazwisko i imię głosującego: Adres

....

Kupon II

Konkurs literacki „Głosu Warszawskiego"

Za najlepsze uważam trzy następujące utwory (podać tytuły)

1. ....

2. ....

3. ....

Nazwisko i imię głosującego: Adres:

....

Redakcja „Głosu Warszawskiego”

w/m

ul. Marszałkowska Nr. 123.

II piętro.

Redakcja „Głosu Warszawskiego”

w/m

ul. Marszałkowska Nr. 123.

II piętro.